

KOŃCOWE UWAGI REDAKTORÓW

STEFAN KIENIEWICZ

CHŁOPI A WALKI POWSTAŃCZE O NIEPODLEGŁOŚĆ. ROLA KLAS POSIADAJĄCYCH I ICH OCENA

Wobec licznych zarzutów, z jakimi spotkały się rozdziały mego pióra, ograniczę się w swej odpowiedzi do spraw, za które odpowiadam bezpośrednio jako autor, pozostawiając kol. W. Kuli omówienie zagadnień ogólnych, dotyczących całości tomu.

Zacznę od gorącego podziękowania wszystkim uczestnikom dyskusji, którzy zechcieli nam pomóc, wskazując na najrozmaitsze nasze uchybienia.

Dziękuję archiwistom za merytoryczne wskazówki dotyczące rozdziałów źródłowych. Dziękuję prof. Jacunskiemu za życzliwe uwagi odnoszące się do historii kultury, prof. A. Bukowskiemu za rady dotyczące Pomorza, koleżance Pańków za uwagi o sprawach krakowskich, drowi W. Rostockiemu za ciekawe uzupełnienia dotyczące Księstwa Warszawskiego, choć nie ze wszystkim jestem gotów je przyjąć i na koniec ks. prof. M. Zyczynskiemu, który sprostował nasze ujęcie polityki Grzegorza XVI (natomiast nie przekonało mnie to, co mówił o polityce Piusa IX).

Uznaję konieczność preredagowania rozdziału historiograficznego, potrzebę szerszego powiązania spraw polskich z europejskimi i częstszego porównywania sytuacji poszczególnych dzielnic.

Godzę się z prof. J. Bardachem, że w nowym wydaniu powinniśmy ostrożniej stawiać niektóre sprawy będące dotąd tylko hipotezami. Dotyczy to m. in. sprawy celowości wybuchu powstania w latach 1861-2, o której mówił prof. H. Wereszycki.

Gotów byłbym też zrezygnować z posługiwania się określeniem „naród burżuazyjny“, ponieważ obecni na sali fachowcy, którzy w ubiegłych latach zalecali używanie tego terminu, albo dziś wystąpili przeciwko niemu, albo milczeli i nie zabierali głosu.

W odniesieniu do pierwszego z opracowanych przeze mnie odcinków (1795—1813) spotkałem się parokrotnie z zarzutem zbyt ujemnej oceny okresu napoleońskiego. Zarzut ten został ujęty w sposób dosyć ogólnikowy. Starałem się przedstawić w podręczniku, że okres ten miał dla Polski dodatnie i ujemne strony. Dyskutanci nie zaprzeczali przedstawionym faktom ujemnym; nie przedstawili też nowych faktów dodatnich, o których bym nie powiedział. Różnili się w subiektywnej ocenie wzajemnego stosunku światła i cieni. Trudno mi teraz z subiektywnymi ocenami zaczynać merytoryczną dyskusję.

W sprawie wojny hiszpańskiej spotkałem się z zarzutami, że źle potraktowałem walczących tam Polaków. Jeden z kolegów twierdził, że wojna prowadzona przez Francuzów w Hiszpanii była postępową i że Polacy słusznie czynili biorąc udział w tej wojnie. Od innych osób słyszałem, że Polacy stali sercem po stronie Hiszpanów, a więc że nie należy potępiać ich udziału w tej niesprawiedliwej wojnie. Te dwa sposoby usprawiedliwienia Polaków trudno z sobą uzgodnić. Mówiąc o „zdziczeniu“ części żołnierzy polskich miałem na myśli głównie oblężenie Saragossy. Zestawmy zdarzenie to z rzezią Pragi, której podobno nie odważyliśmy się nazwać po imieniu (zapewne prof. St. Herbst zechce uzupełnić ten ustęp przytoczeniem paru liczb i szczegółów). Ale jeżeli chcemy nazywać po imieniu rzeź Pragi tam gdzie nas mordowano, nie powinniśmy też przemilczeć rzezi Saragossy tylko dlatego, że tam mordowali Polacy.

W sprawie zarzutów prof. H. Wereszyckiego, a zwłaszcza sprawy wzajemnego stosunku między antyfeudalnym ruchem chłopskim i ruchem narodowowyzwoleńczym: mamy w naszej historii przykład roku 1846, kiedy antyfeudalny ruch chłopski przyczynił się do upadku powstania narodowego. Lecz biorąc pod uwagę konkretne warunki Polski XIX wieku, podtrzymuję dalej swą tezę, że na dłuższą metę antyfeudalny ruch chłopski służył polskiemu ruchowi narodowowyzwoleńczemu, mimo iż ci właściciele ziemscy, których zwalczało chłopstwo, byli Polakami a niekiedy też patriotami polskimi. Służy w podwójnym sensie. Po pierwsze, proces potężniejącej walki chłopów z pańszczyzną stwarzał dla polskich bojowników niepodległości możliwość pociągnięcia chłopów do powstania poprzez rzucenie hasła uwłaszczenia i opanowanie władzy przez rząd powstańczy. W tym sensie narastający ruch chłopski w połowie lat czterdziestych i na początku lat sześćdziesiątych był dla spiskowców polskich zachętą do podjęcia walki. Bronię zatem sformułowania, że te dwa powstania narastały na fali antyfeudalnego ruchu chłopskiego; modyfikując lekko ujęcie makiety wyrażę się, że chłopstwo było potencjalną siłą napędową tych ruchów.

W drugim znaczeniu antyfeudalny ruch chłopski sprzyjał ruchowi narodowowyzwoleńczemu, ponieważ — jak to uznał prof. H. Wereszycki — uwłaszczenie przeprowadzone przez zaborców nawet z doraźną ujmą dla sprawy narodowej pogłębiało stopniowo w masach świadomość narodową. Stąd wniosek, że wszystko co przyspieszało w Polsce obalenie feudalizmu, sprzyjało interesowi narodowemu, wszystko zaś co konserwowało feudalizm i chciało utrzymać przeżytki feudalizmu, było przeciwne interesowi narodu. To, co antynarodowe, nie zawsze musi być kwalifikowane jako zdrada. Zdrajcami nazywać będziemy tylko odstępców świadomych tego, co czynią.

Co do rzekomego przecenienia przez nas świadomości klasowej i narodowej chłopów: makieta nie popiera tej tezy przykładami, ale przecież opiera się na monografiach, te zaś na faktach zaczerpniętych ze źródeł. Przejawów świadomej i w pełni zorganizowanej walki gromad chłopskich z uciskiem feudalnym, poświadczonych w źródłach, jest dostatecznie wiele i podobnie przykładów udziału chłopów w powstaniach

narodowych¹. Oczywiście nie twierdzimy w makiecie, że wszyscy chłopi wyznawali świadomie program obalenia feudalizmu i że wszyscy brali udział w powstaniach. Samo zjawisko jest jednak dość wyraźne, aby zwrócić na nie uwagę w naszym dziele.

Przejdę do oceny klas posiadających, do nazbyt pochopnego, zdaniem wielu dyskutantów, posądzania ich o zdradę. Nie jest to wyłącznie problem polski. Purytanie angielscy oskarżali o zdradę Stuartów; jakobini francuscy — Kapeta. W każdej rewolucji rodzą się oskarżenia o zdradę — czasem rzeczywiste, czasem fałszywe. I w naszych rewolucjach XIX i XX wieku przy każdym ostrym politycznym konflikcie rodzi się podejrzenie zdrady. Historyk do tych podejrzeń musi się odnosić krytycznie, ma obowiązek zbadać, co jest prawdą w tych oskarżeniach i wyciągnąć stąd dalsze wnioski. Czy jednak można twierdzić, że przedstawiciele polskich klas posiadających w czasach porzoborowych nigdy nie zdradzali? Pomijam nawet problem Targowicy. Mamy fakty i z lat późniejszych.

Wydanie Stefańskiego przez Seweryna Mielżyńskiego stwierdzają akta policyjne pruskie ponad wszelką wątpliwość. Podobnie gdy idzie o zdradę Henryka Ponińskiego, który wydał poznańską organizację powstańczą w roku 1846. To samo uczynili Władysław Sanguszko i paru innych ziemian w stosunku do organizacji galicyjskiej. Dla roku 1863 wystarczy tu przypomnieć śmierć Bobrowskiego. Czy były to wszystko sprawy zwykłych sprzedawczyków, czy też niektórzy z tych ludzi działali pod wpływem interesu klasowego? Nie brak nam wypowiedzi, w których przedstawiciele polskich klas posiadających stwierdzają, że należy odrzucić wszelką myśl o niepodległości właśnie ze względu na interes klasowy. Przypomnę „Mieszaniny“ Jarosza Bejły (Rzewuskiego) i list Wielopolskiego do kanclerza Metternicha. Wskażę na list pisany w roku 1849 przez jednego z najbardziej zasłużonych dla kraju magnatów, Leona Sapiechę, który pisze bezpośrednio po rewolucji, że trzeba „wyrazić Polska i Ojczyzna na czas przynajmniej z dykcjonarza naszego wymazać“ i to do czasu „jak się bydlę zmieni na ludzi“. Sprawa legalizmu wobec zaborcy i groźna sytuacja klas posiadających są tu chyba niedwuznacznie związane. Czy nie zdarzało się, że przedstawiciele klas posiadających uprawiali dywersję w szeregach rewolucji? Odsyłam tu do świeżo ogłoszonych listów Kronenberga z roku 1863. Czy nie zdarzało się, że szlachta polska angażowała się w ruch narodowy, widząc w nim przeciwwagę dla grożącej rewolucji społecznej? To nie jest wcale teza marksistowska, postawił ją Michał Bobrzyński. Ma ona oparcie w dokumentach: Przytoczę list Bystrzonowskiego pisany w 1847 roku do ks. Adama bezpośrednio po dniach galicyjskich, w którym pisze, że tylko powstaniem narodowym można dziś zapobiec rewolucji, „jak wściekłą rozpalonym żelazem goić tylko można“. Można by zacytować więcej wypowiedzi, w których politycy z grona klas posiadających przyznają sami, że ich niechętny stosunek do walki niepodległościowej bądź też penetrowanie przez nich organizacji niepodległościowych mają na celu określone motywy klasowe.

¹ Przytoczyłem tu kilka przykładów z Galicji i Śląska (1848 r.) oraz Podlasia (1861 r.).

Czy wobec tego historyk ma prawo suponować u przedstawicieli klas posiadających tego rodzaju motywy nawet tam, gdzie nie ma bezpośrednich po temu dowodów? Sądzę, że ma takie prawo. Czy nasz podreęcznik nie suponował czasem zbyt pochopnie? Może to tyczyć się niektórych wypadków (np. stosunku liberałów poznańskich do władzy świeckiej papieża). Jeśli zdarzyło się nam okazać zbyt dużą podejrzliwość w stosunku do przedstawicieli klas posiadających, postaramy się to naprawić. W żadnym jednak wypadku nie będziemy stosowali wobec postępków tych ludzi taryfy ulgowej, ani dla świętej zgody nie zrezygnujemy z potępienia ich szkodliwej dla narodu polityki, jeżeli taką dostrzeżemy.

Prof. J. Bardach postawił mi zarzut, że przeciwstawiam w makiacie pojęcie rewolucji agrarnej pojęciu rewolucji burżuazyjnej. Prof. J. Bardach zdaje się traktować te dwa określenia jako synonimy. W moim pojęciu rewolucja agrarna jest wariantem rewolucji burżuazyjnej, wariantem typowym dla krajów rolniczych Europy środkowej na określonym etapie ich rozwoju. Nie są to więc pojęcia identyczne, ale nie są też przeciwstawne.

Prof. H. Wereszycki wskazuje, że Włosi, Grecy i Rumuni mieli gorsze jeszcze klasy posiadające i słabszych jeszcze rewolucjonistów niż Polska, a mimo to odzyskali niepodległość. To prawda. Mieli oni lepsze niż my położenie geograficzne i uzyskali pomoc zagraniczną.

Polacy byli w gorszym położeniu. Czy dlatego powinni byli zdać się na obcą przemoc? Tego nie twierdzi i prof. H. Wereszycki. Na to, żeby naród polski mógł po rozbiorach przetrwać, walczyć i po 100 z górą latami doczekać się możliwości wyzwolenia, na to naród nasz potrzebował bardziej ofiarnych klas posiadających i bardziej radykalnych niż gdzie indziej rewolucjonistów. Być może mieliśmy bardziej patriotyczną szlachtę niż w innych krajach Europy i bardziej radykalnych niż gdzie indziej rewolucjonistów.

A jednak ten patriotyzm i ten radykalizm miały swoje granice: wytyczał je interes klasowy białych i obciążenia szlacheckie czerwonych.

W zakończeniu tomu II piszę, że powstania polskie „załamały się pod przemocą zaborców, na skutek zdradzieckiej postawy klas posiadających, a chwiejności i niekonsekwencji samych rewolucjonistów“ (cz. II, s. 743). Ktoś zarzucił mi, że skoro sama tylko przemoc zaborców wystarczała, żeby nas pognębić, po co mówić o tamtych dwóch przyczynach? To trudno: faktem jest, że na naszą zgubę działały wszystkie trzy czynniki i nie da się odważyć po aptekarsku, w jakim procencie który z nich zaważył. Obowiązkiem historyka jest uwzględnienie wszystkich zaobserwowanych przyczyn. Wzgląd pedagogiczny, moralny nakazuje chyba nie zrzucić całej odpowiedzialności na wpływy zewnętrzne. Lepiej po męsku przeprowadzić do końca ten rachunek sumienia.

W sprawie oceny obozu Czartoryskiego, a raczej jego polityki zewnętrznej: jestem serdecznie wdzięczny kolegom z Jugosławii, Rumunii, Węgier i Czechosłowacji, którzy naświetlili szerzej, niż to sam mogłem uczynić, liczne problemy rewolucji 1848, a w szczególności problem polityki Hotelu Lambert na ich terenach.

Zależności Hotelu Lambert od rządów Anglii i Francji trudno chyba negować. Wydaje mi się, że sieć dyplomatycznych placówek Hotelu Lam-

bert na Bałkanach nie utrzymałaby się ani miesiąca, gdyby Francja i Anglia cofnęły jej swe poparcie. Za to poparcie Hotel Lambert musiał płacić. Bez kwestii Adam Czartoryski próbował uniezależnić się od Francji i Anglii i wbrew doraźnej polityce tych krajów usiłował prowadzić politykę własną, bliższą interesom polskim, tak jak je sam pojmował. Lecz możliwości wyłamania się z linii politycznej narzuconej przez Francję i Anglię były nikłe i Hotel Lambert na własną rękę zbyt wiele nie mógł osiągnąć.

Jak zdaje się wynikać z przebiegu dyskusji, oceniliśmy widać fałszywie i krzywdząco politykę bałkańską Adama Czartoryskiego. Nie znaleźliśmy materiałów źródłowych pochodzących z tamtych terenów, a broniliśmy się przed sugestią korespondencji agentów Hotelu. Ocenialiśmy jego politykę bałkańską per analogiam do lepiej nam znanej polityki polskiej. Korzystaliśmy zresztą z węgierskiej monografii Hanacke, która poddała politykę Czartoryskiego z 1849 r. bardzo ostrej krytyce. Widząc dziś, że historycy marksiści najbardziej zainteresowanych krajów oceniają pozytywnie rolę, jaką odegrała polityka Czartoryskich na Bałkanach, możemy tylko akceptować to twierdzenie, i odpowiednio przeredagować nasze wypowiedzi. Pozostaje dalsza kwestia objaśnienia sobie, jak ten sam prawicowy obóz emigracji mógł prowadzić postępową politykę na gruncie krajów bałkańskich, a konserwatywną — w Polsce.

Problem granicy z roku 1772. Przyznaję, że w naszej makiecie są uproszczenia i niejasności. Nie pójdę jednak śladami prof. H. Wereszycyckiego, który wśród wielu argumentów na rzecz słuszności naszych praw do granic przedrozbiorowych wysuwa m. in. postanowienia Kongresu Wiedeńskiego. Te postanowienia w sprawie granic 1772 były w stosunku do Polski jakimś słabym, nieobowiązującym echem doktryny legitymizmu, tej samej doktryny, która przyznała np. Lombardię Austrii. Z tą doktryną nic nas nie łączy.

Rozumiem, że należy traktować problem stosunku postępowych działaczy polskich do sprawy granic 1772 r. w sposób ewolucyjny.

Nie można mieć pretensji do rewolucjonistów polskich pierwszej połowy XIX wieku, że nie przewidzieli dalszego rozwoju narodowego Białorusi i Litwy, chociaż najbardziej przenikliwi spośród nich już w latach trzydziestych taki rozwój przewidywali. My dziś znamy ten dalszy rozwój i wiemy, że rozwój świadomości narodowej tamtych krajów musiał doprowadzić do wyparcia z nich żywiołu polskiego i do tego, że ziemie te staną się własnością Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Dlatego nie wymagając zbyt wiele od demokratów sprzed 100 lat mamy prawo sygnalizować czytelnikowi, kiedy przewidywali oni trafnie, a kiedy się mylili.

Prof. H. Wereszycycki w zakończeniu swojej wypowiedzi wyraził się, że nasz podręcznik będzie czytany przez młodzież i na to, żeby pozyskać umysły młodzieży, powinniśmy też liczyć się z jej uczuciami. Sądzę nieco inaczej: na to, żeby pozyskać zaufanie młodzieży powinniśmy dawać jej dowód daleko posuniętej rzetelności naukowej i wierności naszym przekonaniom. Im wyżej cenię trwałość przekonań prof. H. Wereszycyckiego, tym mniej skłaniam się do poświęcenia tych przekonań w zakresie stwierdzeń historycznych, do których sam doszedłem w toku pracy naukowej.

Byliśmy w ciągu 4 dni świadkami różnych stanowisk. Niektórzy mówcy potępili nas w Sulejówku za to, co sami głosili w Otwocku. Wyrzucano mi ogołocenie podręcznika z wielkich ludzi — po tylu długo stawianych mi zarzutach, że uprawiam psychologizm i personalizm. Nie tak dawno zarzucano mi, że oszkalowałem ruch chłopski w 1846 roku, ponieważ mówiłem o polityce Breinla i bitwie pod Gdowem. Dziś posłyszałem, że ruch ciemnych chłopów nie mógł przecie wyzwolić Polski. Do niedawna w 1863 roku praktykowano podział na 2 tylko obozy: z jednej strony rewolucyjnych demokratów, z drugiej — wszystkich innych. Dzisiaj atakowano nasze ujęcie tej sprawy — znacznie bardziej wycieniowane — z pozycji nieoczekiwanie konserwatywnych. Nie zamierzam iść podobną drogą ani też nie uchylam się od odpowiedzialności za całość tomu — nie tylko za własne partie — rzekomo stosowanym wobec mnie naciskiem. Myliłem się wielokrotnie przed wojną i po wojnie w toku swojej pracy naukowej. Staram się naprawiać te omyłki przekonywając się do nowych ujęć w miarę poznawania nowych źródeł lub nowych argumentów. Zawsze jednak starałem się i chcę się starać w toku dalszej pracy, w miarę niedoskonałego swego rozeznania pozostać jak najbliższym tego, co mi się zdaje prawdą naukową.

WITOLD KULA

JESZCZE O OPTYMIZMIE I PESYMIZMIE

„Nie jest powoływany do składania rachunku ten, kto się powstrzymuje od działania“ — tak mawiał przyszły cesarz Galba w ostatnich latach panowania Nerona. Wybór nasz nie poszedł po linii zaleceń Galby. Wybraliśmy działanie i dlatego spotkał nas ten zaszczyt, że stu kolegów z kraju a 11 z zagranicy poświęciło tyle swego czasu na przygotowanie się i udział w czterodniowej konferencji. Dodać do tego należy dziesiątki kolegów, którzy swe uwagi wypowiedzieli w dyskusjach środowiskowych. Materiał krytyczny, złożony nam na piśmie przez kolegów występujących w dyskusji, przez tych, którym zajęcia nie pozwoliły przybyć do Sulejówka, przez przedstawicieli oddziałów PTH, wreszcie nadesłany indywidualnie przez wielu kolegów sięga kilkunastu setek stron maszynopisu. Wszystkim widać historykom polskim leżało na sercu, by opracowywane dzieło było możliwie jak najlepsze. Gdyby zliczyć włożone w analizę i krytykę makiety „praco-godziny“ otrzymalibyśmy liczby imponujące. Z radością podkreślam ten budujący naprawdę przykład poczucia społecznej odpowiedzialności i prawdziwej solidarności koleżeńskiej, jakich dowód dało całe nasze środowisko naukowe, wyrażając w imieniu grona opracowującego makietę oraz Instytutu Historii serdeczną wdzięczność wszystkim kolegom.

Gdy prof. J. B a r d a c h przypomniał tu zesłowieczny jeszcze apel F i n k l a o integralny podręcznik historii Polski — każdemu chyba ze słuchaczy nasunęły się myśli o tym, ile dziesięcioleci musiało minąć, nim postulat ten został zrealizowany. Historia Polski Instytutu Historii przy wszystkich swych brakach, o których wiedzieliśmy, które nam w toku krytyk uprzytomniono i które wyjdą jeszcze na jaw w świetle dalszej dyskusji i dalszego rozwoju nauki — jest syntezą integralną, przede wszystkim w zakresie rzeczowym i geograficznym, a takimi nie były górujące nad nią pod wieloma względami syntezy dawniejsze. Może ten взгляд przyczyni się w oczach krytyków, a także i przyszłych historyków nauki, do częściowego usprawiedliwienia jej braków.

Zabierając głos jako ostatni w naszej dyskusji nie będę oczywiście mówił o tym, jak ci sami krytycy oceniali te same rozdziały w styczniu 1956 r. — a jak oceniają je dziś. Byłyby to tanie efekty.

Nie będę też zużywał cennego czasu na wyjaśnianie licznych nieporozumień. Większość z nich wynikała ze zbyt pośpiesznego przeczytania makiety względnie z czytania jedynie interesujących dyskutanta rozdziałów. Podobnie jak w dyskusji nad makietą I tomu jak najmocniej podkreślałam, że Historia Polski nie jest i nie powinna być encyklopedią, gdzie

pod żądanym hasłem znajdzie się całość potrzebnych informacji. Historia Polski jest i powinna być organiczną całością. Czytelnik, który przeczyta wszystkie paragrafy odnoszące się do interesującego go regionu czy też zakresu rzeczowego — będzie białadł nad lukami wykładu, a tymczasem materiał ten z takich czy innych względów konstrukcyjnych znalazł się w innych miejscach makiety. Tego rodzaju nieporozumień było sporo. Ponosimy za nie częściową odpowiedzialność przez zbyt późne rozesłanie tomu.

Warto może jednak zaznaczyć, że wśród jawnych pomyłek dyskusantów przeważały moim zdaniem pomyłki „kierunkowe“. Za symbol uznać by tu można ów fakt zarzucenia nam, że głosimy iż w wojsku Księstwa Warszawskiego panował dryl kaprałski — podczas gdy w tekście makiety znajduje się teza akurat przeciwna.

By skończyć z wyjaśnieniami — jeszcze jedna sprawa. W dyskusji padł zarzut, że nie wszyscy koledzy, opracowujący materiały pomocnicze dla potrzeb II tomu makiety zostali w przedmowie wymienieni. Wyjaśniam: zdarzyło się to tylko w jednym wypadku, gdy, bardzo być może potrzebny materiał, zamówiony został bez wiedzy redakcji i dyrekcji IH. Z żadnej innej pomocy autorzy makiety nie korzystali.

Nim spróbuję ustosunkować się do niektórych spraw dyskusyjnych — podkreślić pragnąłbym to, co w kończącej się dyskusji nie było atakowane oraz to, co było atakowane stosunkowo mało.

Nie były atakowane podstawy wyodrębnienia tomu. Częściowo oczywiście tłumaczy się to tym, że tom I, sięgający do 1764 r. znajduje się już w druku i że dyskutanci rozumieli, iż nie czas już w tej chwili podważać ten fakt dokonany. Padały wprawdzie głosy o „związku czasów stanisławowskich z saskimi“ (jakż okres nie wiąże się z poprzednim i następnym?!). Wydaje mi się jednak, że sama makieta dostatecznie wykazuje jak najściślejszy związek państwa Rady Nieustającej i Straży Praw z Księstwem Warszawskim, okresu manufaktur stanisławowskich z manufakturami I-szej poł. XIX w., Oświecenia z Romantyzmem.

Była natomiast atakowana zawarta w przedmowie motywacja wyodrębnienia tomu. Niektórzy interpretowali zawarte tam zwroty w duchu odmiennym od intencji, jakie miałem przy pisaniu tej przedmowy. Intencją moją nie było bynajmniej pomniejszanie znaczenia kryterium formacyjnego — lecz jedynie stwierdzenie, że w pewnych wyjątkowych wypadkach czynnik zewnętrzny i całkowicie od autonomicznych procesów rozwoju społecznego niezależny urasta do takiej wagi, że musi stać się kryterium periodyzacyjnym. Wyrażając się obrazowo: w dziejach Meksyku inwazja europejska będzie granicą periodyzacyjną niezależnie od tego, na jaki moment rozwoju społecznego tamtejszego społeczeństwa przypadała. Jeśli jednak zwrot ten wzbudził nieporozumienia — wystarczający tą dowód, że jest dwuznaczny i że należy go przerezagować.

Nie były raczej atakowane rozmiary tomu. Przekroczyły one wprawdzie w dwójnasób te, które projektowaliśmy w 1953 r. — zachowana jednak została projektowana proporcja w stosunku do tomu I. Zwiększone rozmiary pozwoliły też uniknąć gołosłowności i bogato wyposażyć wykład w materiał faktyczny, co dyskutanci, jak się zdaje, ocenili pozytywnie.

Nie była atakowana zasadnicza periodyzacja (poza krytyką przydatności pewnych dat w stosunku do pewnych działów zagadnień).

Proporcje atakowane były jedynie przez paru kolegów, skarżących się na upośledzenie takiej czy innej dzielnicy. Choć operowali oni liczbami obliczonymi z dokładnością do 0,1% — nie wydają mi się te liczby przekonywujące. Osiągnięte one zostały przez porównanie rozmiarów paragrafów, poświęconych specjalnie danej dzielnicy z całością dzieła. Jest to błąd statystyczny, gdyż obliczając te proporcje należałoby uwzględnić poświęcone każdej z tych dzielnic ustępy, zawarte w innych, nie dzielnicowo ujętych paragrafach, a wówczas owe odsetki wypadłyby inaczej.

Krytyka przydatności dzieła jako podręcznika uniwersyteckiego szła też po innej linii, niż w poprzednich dyskusjach. Gdy dawniej atakowano głównie rozmiary — obecnie krytykowano układ, rozbięcie wątków, podział na paragrafy.

W dyskusji zarysował się swoisty rozkład światła i cienia. Pewne rozdziały były bardzo atakowane — inne stosunkowo nieznacznie. Interpretacje były bardziej atakowane niż np. selekcja materiału. Czy temu rozkładowi światła i cienia mamy uwierzyć? Czy rzeczywiście to, co najmocniej w dyskusji atakowano, jest najsłabsze w dziele, a to, co wyszło z dyskusji obroną ręką — jest w nim najmocniejsze? Mam w tej sprawie głębokie wątpliwości, oparte nie tylko na własnym przekonaniu o tym, co w podręczniku lepsze, a co słabsze, lecz i na licznych rozmowach i dyskusjach kularowych. Ten fakt chciałbym mocno podkreślić, nie wdając się w jego interpretację, tak skądinąd ciekawą.

Przejdźmy wreszcie do tego, co w podręczniku było atakowane i do wysuwanych propozycji.

W sytuacji tej redaktorzy „Historii Polski“ mogliby pozazdrościć Amonowi z prusowskiego „Faraona“. W śnie Ramzesa XII do Amona nie dolatują gołębie, niosące sprzeczne ze sobą życzenia ludzkie. Amon pozostaje w wygodnej, obojętnej pozycji. W dyskusji naszej było podobnie, jak z modlitwami mieszkańców doliny Nilu. To co jedni chwalili — inni ganili, jedni wysuwali postulaty rozszerzenia pewnych partii — drudzy ich zmniejszenia. Krytyki, życzenia i postulaty krzyżowały się niejednokrotnie. Tylko że nam nie wolno zająć pozycji Amona.

Zgodnie atakowany był układ podręcznika. Zgodnie uważany był za zły — natomiast skrajnie niezgodne były postulaty jego naprawienia.

W sprawie tej rozdzielić należy dyskusję nad ideą od dyskusji nad wykonaniem. Ideą układu było osiągnięcie integracji analizy i wykładu. W epoce, w której poszczególne dziedziny wiedzy historycznej tak bardzo się usamodzielniały, w której istnieją i będą powstawały nowe syntezy historyczne dziejów państwa i prawa, gospodarczych, wojskowych, nie mówiąc już o dziejach poszczególnych dziedzin życia kulturalnego — integracja jest chyba podstawowym zadaniem historii *tout court*. Tę integrację postawiliśmy sobie za cel. Podręcznik nasz nie miał być zbiorem skróconych podręczników historii prawa, gospodarczej, wojskowej, literatury, malarstwa itd. itd. Szliśmy na tę koncepcję z pełną świadomością jej ryzykowności. Nie może ona zadowolić żadnych historyków (nazwijmy ich tak) „branżowych“, więc też wszyscy nas krytykują. Sprawa wiąże się z niebłahym problemem, bo z pytaniem: czym jest historia *tout court* w okresie takiej specjalizacji jej poszczególnych działów? Wszyscy historycy „branżowi“ są niezadowoleni z „rozkawałkowania“ wykładu ich tematyki. „Rozkawałkowanie“ to uniemożliwia pogłębioną analizę i jasny

wykład wewnętrznych prawidłowości, rządzących rozwojem interesującej ich dziedziny społecznego życia. Prof. J. Ś i d a k kładł silny nacisk na sprawę autonomicznych prawidłowości rozwoju, poszczególnych komponent życia społecznego. Święta racja. Osobiście mam za sobą niejedną walkę przeciwko ich nieuznawaniu czy lekceważeniu. Tylko czy ukazanie tych właśnie zagadnień to raczej nie zadanie podręczników specjalistycznych? Czy można było zresztą postąpić inaczej? Przedstawienie rozwoju gospodarki, prawa, wojskowości, kultury etc. w długich ciągach rozwojowych zmusiłoby do speriodyzowania wyłącznie wykładu historii politycznej. Czy to nie wyizolowałoby jej z całości przemian dziejowych? A przecież tego właśnie najbardziej chcieliśmy uniknąć. Prof. K. W y k a atakował rozdziałek poświęcony zagadnieniom kultury w okresie kilkumiesięcznego powstania kościuszkowskiego. Nazwał go „ogonkiem“ oderwanym od wykładu kultury Oświecenia, z którą stanowi nierozzerwalną całość. Pewnie, że zjawiska kulturalne powstania kościuszkowskiego stanowią integralną, być może nawet szczytową część kultury polskiego Oświecenia. Ale przyznam się, że ja osobiście traktowałem ów rozdziałek właśnie jako poważne osiągnięcie autora. Wkomponowanie spraw teatru, piosenki, poezji ulotnej, rysunku odręcznego etc. w wykład całości dziejów powstania ukazuje moim zdaniem kulturę żywą, aktywnie współzyczącą i współdziałającą w najdonioślejszych momentach życia narodu. Każdy przyjęty podział wysuwa jedne związki i zależności na plan pierwszy, usuwając w cień inne. Ale czy naszym zadaniem nie było właśnie te związki uwypuklić — pozostawiając syntezom dziejów literatury, malarstwa, muzyki etc. wykład innych zależności?

Krytykowano „rozkawałkowanie“ wykładu niektórych dziedzin życia społecznego, zwłaszcza dziejów gospodarczych, wysuwając argument, że przemiany w tych dziedzinach były zbyt wolne, by można było dać wyraźnie odmienny obraz dla każdego z 10-15-letnich okresów, takich, jakie spotykamy w okresie 1795—1864. Nie jestem przekonany o słuszności tego argumentu. Nie mogąc tu wdawać się w jego szczegółową analizę — posłuchę się tu innym rozumowaniem. Weźmy np. pięć powstań polskich: 1794, 1806, 1831, 1846/8, 1861/4. Każdy bez większego trudu potrafi scharakteryzować odmienną społeczność oblicza każdego z nich. Czy więc rzeczywiście przemiany w życiu gospodarczym były tak wolne? Czy mogły być tak wolne — jeśli tak wyraźnie następowały przemiany w układzie sił klasowych i tak jaskrawo widoczne były ich skutki polityczne? Czy spełniliśmy nasze zadanie „integracyjne“, gdybyśmy nie ukazali tych przemian, które sprawiły, że powstanie 1831 r. toczyło się pod hegemonią szlachty ziemiańskiej, a o oddzielonych od niego tak krótkim okresem powstaniach r. 1846/8 już tego powiedzieć nie można?

Ciekawym dla mnie momentem w dyskusji nad tym zagadnieniem były propozycje pozytywne, wysuwane przez dyskutantów (nie mówię o sceptykach, jak kol. A. P o d r a z a, który stwierdzając, że owo „rozkawałkowanie“ jest złem — przyznał, iż nie widzi lepszego rozwiązania). I tak np. prof. N. G ą s i o r o w s k a udowodniała, że wykład dziejów gospodarczych należałoby połączyć dla okresu 1815—1845. Prof. W y k a postulował wspólne omówienie kultury okresu 1807—1831. Kol. B u k o w s k i domagał się łącznego omówienia dziejów Pomorza dla okresu 1776—1806, zaś według kol. P a ń k ó w dzieje Wolnego Miasta Krako-

wa powinny być omówione łącznie dla całego okresu jego istnienia. Moim zdaniem wszystkie te postulaty były słuszne. Tak można, a może nawet należy pisać historię gospodarczą, historię literatury, historię Pomorza czy Krakowa. Rzecz w tym, że tak nie można pisać historii Polski.

Oczywiście broniąc tu idei układu — nie bronię samego wykonania. Nie twierdzą bynajmniej, że udało się nam ową integrację w pełni osiągnąć, wszędzie gdzie należy ukazać. Nieraz zapewne poszczególne rozdziały jednej chronologicznej części figurują obok siebie, wewnątrznie w układzie niepowiązane. Tylko niektóre z tych braków powiązań dałyby się wytłumaczyć lukami w nauce. Niejedno i w obecnym stanie nauki dałoby się jeszcze uzupełnić i tu każda rada i pomoc będzie dla nas cenna.

Oczywiście niejedno rozbitcie tematyczne da się usunąć. Połączymy na pewno wykład zagadnień ekonomicznych okresu stanisławowskiego, za którego rozdzielenie, wbrew woli autora, prof. W. R u s i ń s k i e g o, ponoszę osobistą odpowiedzialność. Da się może coś jeszcze poprawić w wykładzie dziejów Galicji czy Pomorza. Uelastycznimy jeszcze układ i tak już przecież znacznie elastyczniejszy w porównaniu z układem tomu I. Proszę jednak kolegów, by docenili, że dzięki temu układowi, niezależnie od realizacji przyświecających mu, a wyżej omówionych celów, uniknęliśmy innych błędów konstrukcyjnych, tych, przeciwko którym specjalnie kierowało się ostrze krytyki w dyskusji nad tomem I. Uniknęliśmy np. owych „wielkich powrotów“, takich jak w tomie I, gdy po omówieniu przemian w bazie aż do poł. XVIII w. autorzy musieli wracać się do wybuchu powstania Chmielnickiego.

Każdy układ ma swoje zalety i wady. Będziemy się starali lepiej wykorzystać te zalety, które pozwala osiągnąć układ przyjęty, uelastyczniając go, gdzie się da.

Atakowaną była też forma wykładu. Że niejednolita, że nieefektowna, że pozbawiona „barwy“ i emocjonalności.

Moim zdaniem — głęboko słuszne to zarzuty. Nie wydaje mi się jednak, by można było tych wad uniknąć. Niejednolitość formy jest ceną zespołowości. Redakcja świadomie nie dążyła do „gleichszaltowania“ stylu autorskiego. Pytanie sprowadza się więc do rachunku zysków i strat. Czy zespołowość, pociągająca za sobą wiele braków — per saldo opłaciła się dziełu? Co do mnie — nie mam wątpliwości, jak powinna wypaść odpowiedź na to pytanie. Impreza tak ambitna, tak szeroko zakrojona, dająca 1400 stron wykładu dziejów stulecia, w tych zaś ramach dająca w miarę możliwości informacje o wszystkich niemal dziedzinach społecznego życia — nie mogła być inaczej podjęta. Styl musi więc być niejednolity. Musi też być często nieefektowny. Nie zapraszaliśmy do współpracy dobrych pisarzy — lecz specjalistów. Podręcznik nasz jest pierwszą próbą nowej syntezy. Będą po nim powstawały inne, napisane przez indywidualnych autorów, jednolite stylowo, bardziej przeniknięte jednolitością koncepcji i autorską pasją.

Zarzuty dotyczące braku w wykładzie kolorytu epoki krzyżowały się moim zdaniem z atakami wymierzonymi przeciwko używaniu w wykładzie słów i zwrotów, pochodzących z omawianych czasów. Zarzucano nam, że gdzieś użyliśmy słowa „świstek“ czy określenia „lby szlacheckie“, „warchoł“ czy „dorobkiewicz“. Ciążący na naszej imprezie ciężar odpowiedzialności, związanej z akademickim charakterem Instytutu, niektó-

rzy koledzy usiłowali jeszcze bardziej powiększyć, do rozmiarów, których nie udźwignęłyby nasze słabe barki. Moim zdaniem metafory, barwy, terminologii i słownictwa epoki jest w wykładzie bynajmniej nie za wiele, lecz przeciwnie, zbyt mało.

Atakowano wykład za „cytatologię“. Obrona niepopularnej sprawy posiada pewien urok, a podejmuję ją tym chętniej, że jak mi się wydaje, posiadam do tego moralne prawo: osobiście cytowałem klasyków marksizmu często w l. 1945/47, gdy traktowałem to jako deklarację polityczną, zaś od chwili, gdy cytowanie stało się u nas obrzędem, przestałem (z wyjątkiem 5 stron mojego autorstwa w artykule „Kwartalnika Historycznego“ na śmierć Stalina) cytować w ogóle.

Moim zdaniem do dyskusji nad tą sprawą należy wprowadzić więcej racjonalizmu.

Przede wszystkim stwierdzmy, że za zacytowane z aprobatą czyjeś zdanie autor odpowiada jako za swoją własną tezę.

Po wtóre stwierdzmy, że historyk ma zawsze prawo do zacytowania z aprobatą świadectwa współczesnego, opinii wybitnego działacza epoki czy też przedstuletniego historyka. I nie mogę się w tym dopatrzeć stwierdzanego przez prof. H. W e r e s z y c k i e g o „pesymizmu poznawczego“ (nie mogę się oprzeć wrażeniu, że użycie w związku z tą sprawą tego określenia było wywołane dążeniem do efektu literacko-polemicznego, w związku z innymi, w każdym razie lepiej uzasadnionymi zarzutami „pesymizmu“, kierowanymi przez H. Wereszyckiego pod adresem podręcznika). Dając charakterystykę Pitta historyk ma prawo zacytować M a c a u l a y ' a, o ile się z nim zgadza — i nie będzie to żadnym „pesymizmem historiograficznym“ w stosunku do wielkiego dorobku późniejszej od Macaulaya nauki.

K. M a r k s mówiąc o niepodległości Polski użył metaforycznego zwrotu o „narodach niezbędnych“. H. Wereszycki atakuje nas za zacytowanie tego powiedzenia. Napoleon, mówiąc o niepodległości Polski, użył metaforycznego zwrotu o „zworniku sklepienia europejskiego“. Ileż razy i z widoczną lubością Szymon A s k e n a z y cytuje to powiedzenie a jakoś nie przypominam sobie, by Askenazy był krytykowany za „cytatologię“! H. Wereszycki przeprowadza logiczną analizę tego metaforycznego zwrotu Marksa, efektownie udowadniając, że nie wytrzyma on takiej analizy. Słusznie, tak samo nie wytrzyma jej ów zwrot Napoleona. Przy uwzględnieniu metaforycznego sensu oba te zwroty znaczą mniej więcej to samo. A przecież prof. Wereszyckiemu nie idzie chyba o wyrugowanie metafory z języka naukowego. Wie on przecież doskonale, że takie próby już były i że ludzie, którzy je podejmowali nie wiedzieli, że zdanie: „wyrugować metaforę z języka“ jest piękną i śmiałą metaforą.

Czy miał prawo Askenazy cytować owe powiedzenie Napoleona? Nikt chyba nie zaprzeczy, że miał. Ale i my nie zrezygnujemy z prawa cytowania Marksa. Nie ma naukowych przeciwwskazań przeciwko żadnej z tych cytat. Różni je natomiast cel ideologiczny. Askenazy całym swym dziełem dążył do ideologicznego podbudowania tezy o racjonalności i wzajemnej pożyteczności sojuszu polsko-francuskiego — my pragnęliśmy ukazać czytelnikowi stosunek do sprawy Polski radykalnej lewicy europejskiej. Kwestia wyboru.

To, co było w minionym okresie gnębiącą nas i groźną dla nauki „cytatologią“ — to nie samo stosowanie cytata. To stosunek do cytata jak do argumentu niesprawdzalnego. Nie wpadajmy teraz w drugą metafizykę. Nikt z nas też chyba tu zebranych nie ulegnie tendencji, by w obawie przed posądzeniem o „cytatologię“ miał wprowadzić *numerus nullus* dla jednej kategorii cytata: dla cytata z M a r k s a, E n g e l s a i L e n i n a.

Przeciwstawiając się tu skrajnym w zapale polemicznym zarzutom — nie chcę bynajmniej powiedzieć, że w tym zakresie wszystko w makiecie jest dobrze. Przeciwnie. Niejedna cytata jest niepotrzebna, niejedna w niewłaściwym sensie użyta. Zanalizujemy tekst jeszcze raz pod tym kątem widzenia, korzystając szeroko z licznych rad, które padły w dyskusji.

Centrum czterodniowej naszej dyskusji, a także i licznych dyskusji środowiskowych, stanowiła polemika o stosunek do tradycji narodowych. Tym więc sprawom najwięcej poświęcić muszę uwagi.

Stosunek do tradycji bardzo silnie musi się przejawiać w rozdziałach traktujących o kulturze. Szeroko w „Historii Polski“ zakrojone, nastreściły wszystkim autorom niezmiernie trudności. Przedstawiciele Instytutu Badań Literackich i Państwowego Instytutu Sztuki w niezmiernie ujmujący sposób brali tu w dyskusji część winy na siebie. Z radością podkreślam miły i koleżeński ton obu tych wypowiedzi — częstym bowiem przecież jest zjawisko, że fachowcy nie lubią, gdy intruzi wkraczają na ich zastrzeżony teren. Największą jednak, a nie wymienioną „winą“ obu tych instytutów jest brak jak dotąd syntez naukowych dziejów literatury i sztuki polskiej. Przecież nawet, gdy one się już ukażą — to jeszcze dla autora syntezy historii Polski pozostanie niemało do zrobienia, by zjawiska te połączyć z całością dziejów w integralnym wykładzie. W innych elementach, składających się na rozdziały o kulturze, również napotykalismy na nieprzezwyciężone trudności w postaci braku specjalnych badań monograficznych. Czy znamy np. zasięg odbiorców i sposoby percepcji oraz selekcji w poszczególnych warstwach społecznych? Czy znamy kulturę obyczajową, nawet klas panujących, a cóż dopiero klas uciskanych? Co potrafimy powiedzieć o pękaniu barier stanowych (np. sprawa małżeństw stanowo mieszanych), o dziejach pojęć takich, jak patriotyzm czy honor w poszczególnych klasach? O stanie i treści wierzeń religijnych? O kryteriach wartości społecznej (np. miejsce społeczne zawodów wyzwolonych i inteligencji technicznej)? Braki w datowaniu wielu dokumentów etnograficznych uniemożliwiają nam często wykorzystanie ich dla zobrazowania kultury ludowej. A bez całej tej problematyki synteza nasza jest dotkliwie niepełna. Wiedzieliśmy, że nie poradzimy na to. Synteza ta, jak każda, jest zbilansowaniem pewnego etapu nauki, ale jednocześnie otwarciem etapu następnego. Będziemy szczęśliwi, jeśli braki naszej „Historii Polski“ tworzą oczy młodszym badaczom i zachęcą do poświęcania się zaniedbanej dotąd problematyce.

Okres omawiany w II tomie „Historii Polski“ to okres kształtowania się burżuazyjnego narodu. Rację mieli oczywiście liczni dyskutanci, że nieszczęśliwie to wybrany termin. Dwuznaczny. Niepedagogiczny. Stosowanie terminologii aktualnie przyjętej w nauce obowiązuje chyba

autorów podręcznika i nie będą oni chyba zmartwieni tym, że ogólny ton dyskusji upoważnia ich do wprowadzenia w tę terminologię zmiany.

Co innego jednak sprawa terminologii — co innego natomiast istota omawianego procesu, znanego przecież i dawniejszej nauce polskiej (M. H a n d e l s m a n). Powoływanie się, jak to robiono w dyskusji, na G a l l a A n o n i m a nie zmienia faktu, że w omawianym okresie zachodziły podstawowe przemiany w społecznym zasięgu i treści świadomości narodowej. W obecnym stanie naszej wiedzy umiemy raczej wskazać z jednej strony na działające tu czynniki (zwiększona mobilność mas, szkolnictwo etc.) — z drugiej zaś ostateczne polityczne skutki tych przemian, w postaci np. odmiennego oblicza społecznego każdego z kolejnych ruchów narodowowyzwoleńczych. Ogniwa łączącego te przyczyny i skutki, jakim byłyby zjawiska świadomości — brak. Stąd niepełność obrazu i mechaniczne nieraz wiązanie głębokich przyczyn z odległymi skutkami. Ale żadna synteza nie jest w stanie wyskoczyć poza aktualny stan nauki. Dobrze, jeśli uświadomi istniejące w nim luki.

W dyskusji padł zarzut, że wyolbrzymialiśmy słabą faktycznie więź ekonomiczną międzyzaborową, szukając w niej per nefas raczej niż per fas uzasadnienia dla procesu kształtowania się nowoczesnego polskiego narodu. J. Bardach powoływał się w związku z tym na Różę L u k s e m b u r g ułatwiając tym sobie nieco polemikę, gdyż pisała ona w końcu XIX w., w okresie wzmożonego protekcjonizmu, w okresie dominacji kolei żelaznych w transporcie, w okresie, w którym związek ekonomiczny ziem polskich napotykał na trudności coraz bardziej nie do pokonania. Rzutowanie jej też na I połowę XIX w. jest dowolnością. J. Bardach dał nam obraz zupełnego rozłucia ekonomicznego ziem polskich na poszczególne zabory. Prof. N. Gąsiorowska natomiast, przeciwnie, sformułowała tezę, że „na wszystkich ziemiach etnicznie polskich... toczył się jednak prawidłowy, ciągły nurt życia ekonomicznego i kulturalnego“. Myślę, że obie te tezy są skrajnie pesymistyczne. Naszym celem było wykazanie, jak silnie był już w XVIII w. ukształtowany naród polski, skoro wytrzymał tragiczną próbę rozbiorów. Jak silny był on i świadomy, skoro potrafił tak niezłomnie walczyć o wolność. Będziemy się — myślę — dalej starali jeszcze lepiej to uwypuklić, nie wpadając w żadną z cytowanych też skrajnych.

Dyskusja nad stosunkiem do poszczególnych elementów naszych tradycji historycznych toczy się w specyficznej sytuacji ideologicznej w kraju. Dla zilustrowania jej posłużę się prawdziwą niestety anegdotą. Pewien młody historyk udał się niedawno do jednego z miast wojewódzkich (nie powiatowych, lecz wojewódzkich!) z odczytem o powstaniu styczniowym w tym rejonie. W odczycie tym mówił oczywiście o sprawie chłopskiej, o warunkowanych nią przede wszystkim różnicach w postawie ideologicznej poszczególnych stronnictw czy oddziałów powstańczych, o odmiennym stosunku chłopów do powstania w poszczególnych rejonach w zależności od struktury wsi w danym regionie z jednej a ideologicznego oblicza działających tam oddziałów powstańczych z drugiej strony etc. Referat jego został jednak przez dyskutantów, wśród których przeważała miejscowa inteligencja z nauczycielstwem na czele, potraktowany jak najsurowiej. Krytycy stali na stanowisku, że naród polski był w r. 1863 jednolity i solidarny, że sprawa

chłopska została wymyślona przez zaborcę dla rozbitcia tej solidarności, że bez ingerencji zaborcy stosunki między wsią a dworem układały się patriarchalnie, a jeśli nawet czasem pan sprzął chłopą batem — to trzeba to zjawisko traktować zgodnie z metodologią marksistowską, tzn. historycznie: to się wówczas inaczej odczuwało!

Anegdota ta ma dla mnie walor symbolu.

Historyk pracuje zawsze pod presją opinii społecznej. Może zazdrościć np. naukom technicznym, z których wynikami żadne społeczne emocje nie są powiązane — ale to nie zmieni jego sytuacji. Historyk ma zawsze obowiązek szanować powiązane z materiałem, nad którym pracuje, społeczne emocje. Ale szanować — jak słusznie postulował H. Wereszycki — to nie znaczy ulegać im. Ma obowiązek również je kształtować. Ma prawo i obowiązek przeprowadzania nieustannych rewizji — choć wywołuje to opór. Walka przeciwko rewizjonizmowi historycznemu posiada w naszym kraju długą historię. Dziś faktem społecznym jest, że na skutek wiadomych błędów część opinii nie wierzy wszystkim w ogóle rewizjom. Nawet najbardziej niewątpliwie źródłowo udokumentowanym. Nawet tym, które dokonane zostały nie przez naukę marksistowską, powojenną, lecz przez postępową naukę burżuazyjną. Słysząc głosy, które dałyby się streścić w haśle: „Obezwładnić ikonoklastów! Idole z powrotem na cokoły!“ Czy mamy tym głosom ulec?

W minionym okresie wolno nam było liberałom i organicznikom stawiać co najwyżej „3—“, zaś demokratom, powstańcom, a nawet rewolucjonistom co najwyżej „4“. Dziś słysząc głosy, domagające się od nas byśmy wszystkim postawili piątki.

Rzecz w tym, że jest to niewykonalne.

Gdy ja (bo chyba ja pierwszy w druku) sformułowałem zarzut „pesymizmu“ pod adresem pewnych tendencji dzisiejszej historiografii (zarzut, który dziś do mnie rykoszetem wraca) — to nie dlatego, żeby mnie boleć miały owe dwójki i trójki z minusem dla reakcjonistów i oportunistów, lecz dlatego, że bolały mnie owe czwórki z minusem dla tego, co najlepsze i najpiękniejsze w naszej przeszłości. I tutaj trafiał celu H. Wereszycki, gdy z goryczą ironizował na temat spotykających się jeszcze w makiacie pojęć w rodzaju „ograniczona rewolucyjność“.

Nie można postawić wszystkim piątek. Nie można też — choćby się to uważało za ideał nauki — uciec w wykładzie historii od ocen. Siły walczące ze sobą w łonie społeczeństwa polskiego — jak każdego zresztą — były sprzeczne i walczyły ze sobą nieraz na śmierć i życie. I nie jest chyba ani tak, że żadna z nich nie miała racji, ani tak, że rację miały wszystkie. I nie przekonała mnie tu propozycja prof. A. L e w a k a, by dziś, w dobie Frontu Jedności Narodu, rzutować tę jedność wstecz, na obraz naszej przeszłości. Tragiczne koleje musiał przejść naród polski, nim hasło Frontu Jedności Narodu mogło się stać realne!

Krytykowano tu występujące w makiacie metody interpretowania działań klas panujących i ich przedstawicieli. W sprawie wypadków denuncjatorstwa odpowiedział już prof. S. K i e n i e w i c z. Twierdzono też, że ile razy przedstawiciele klas panujących czynią coś pozytywnego — tyle razy makieta interpretuje to jako wyraz obawy o nieutrącenie wpływów w społeczeństwie lub w sposób podobny. Z zarzutem tak ogólnie sformułowanim nie podobna mi się zgodzić. Być może, że w tym

czy innym konkretnym wypadku interpretacja ta jest pozbawiona dostatecznych podstaw. Bylibyśmy wdzięczni za ewentualne wskazanie takich miejsc. Że samo zjawisko występowało jednak często — o tym wątpić nie można. Korespondencja ludzi należących do obozu Białych w latach 1861–4 pełna jest wypowiedzi w tym duchu. Zygmunt Krasiński skarży się jak zwykle na żonę w liście do Delfiny Potockiej, iż ta zmusza go do przeprowadzenia w swych dobrach jakichś reform, grożąc, że w przeciwnym wypadku utraci autorytet w społeczeństwie. Czy Eliza Krasińska była jedynym przedstawicielem swej klasy, rozumującym w ten sposób? A o czym świadczy postępowanie Adama Czartoryskiego od 29.XI do uchwały o detronizacji? O dziesiątki dalszych przykładów nie trudno.

Dużo krytyk skierowanych było pod adresem rozdziałów poświęconych historii wojska i wojen. Z niepokojem, nie będąc specjalistą, zabieram głos w tych sprawach. Nie wątpię, że autorzy tych rozdziałów wiele skorzystali z dyskusji. Jestem przekonany np., że wskazanie na konieczność dokładniejszego omówienia rozmiarów wysiłku zbrojnego, do którego zmuszone były państwa zaborcze dla zdławienia polskich ruchów narodowowyzwoleńczych, było rzeczą słuszną.

Jednak z szeregiem poglądów nie mógłbym się zgodzić.

Płk. T. R a w s k i, domagając się zwiększenia ilości miejsca przydzielonego tematyce wojskowej, argumentował to tym, że przecież „w tym okresie siły zbrojne decydowały o zwycięstwach i klęskach“. Brak czasu nie pozwala mi na tym miejscu obszerniej polemizować z tym stanowiskiem. Deklaruję tylko, że całkowicie nie zgadzam się z taką tezą metodologiczną. T. Rawski twierdził, że Chłopicki i Skrzynecki „to byli dzielni żołnierze i dobrzy wodzowie“. Teza o tym, że Skrzynecki był złym, hamletyzującym wodzem była *communis opinio* w nauce polskiej do T o k a r z a. Zaslugą Tokarza było udowodnienie, że takie, a nie inne działania Skrzyneckiego wynikały nie z jego hamletyzmu, lecz z określonej linii politycznej. Czyżbyśmy mieli podstawy do podważenia tej tezy? Z obroną Skrzyneckiego przez powołanie się na „odpowiedzialność ciążącą na Naczelnym Wodzu“ — nie umiem polemizować, choć ma ona długą, sięgającą samego owego roku 1831 tradycję w nauce i w polityce.

Poza Chłopickim i Skrzyneckim — jeszcze Roźniecki i Sokolnicki doczekali się w naszych obradach obrońców. Nie doczekali się ich już tylko... Wincenty Krasiński i bohaterowie pomnika na Placu Zielonym. Ciekawe, w jakich społecznych warunkach i oni mogliby się doczekać obrony?

Wojnę 1809 r. nazwano w dyskusji „jedyną zwycięską kampanią polską w XIX w.“. O wojnie tej oczywiście nie powiedziano w makiecie „nic złego“ — ale z drugiej strony czy cytowane określenie nie jest przesadą? Jeśli udział w kampaniach napoleońskich nazwać polskimi zwycięstwami — to mieliśmy takich parę.

Obronców uzyskała legenda napoleońska jako taka. Prof. Wereszycki przypominał, że ulegał jej np. Heine. Ja mógłbym przytoczyć, że umiał się jej oprzeć Beethoven, drąc na wieść o koronacji Bonapartego dedykację „Eroici“ i pisząc w jej miejsce słowa: „Pamięci wielkiego człowieka“. Przypominać będę Beethovena nie po to, żeby mieć za złe Heinemu, iż legendzie napoleońskiej ulegał — lecz po to, by docenić dojrzałość i niezależność sądu Beethovena. Nie wystarczy powiedzieć, że Mickiewicz był

pod wpływem legendy napoleońskiej. Trzeba jeszcze zastanowić się, czy było to źródłem jego siły, czy słabości.

S. Kieniewicz wspominał tu już o innych przejawach tendencji do idealizacji polskiej przeszłości wojskowej.

T. Rawski twierdził, że autorzy widzą przede wszystkim „wewnętrzną funkcję“ wojska, tzn. jego funkcję jako narzędzia ucisku klasowego. Nie mogę się zgodzić z tak sformułowaniem zarzutem. Będziemy wdzięczni za każde wskazanie nam miejsc, gdzie zewnętrzna, obronna funkcja wojska została niedoceniona. Ale obok niej i jego wnętrza funkcja musi być pokazana. Musi być w podręczniku pokazany chłop uciekający przed wojskiem lub z wojska — choćby dlatego, by czytelnik mógł docenić przejawy chłopskiego patriotyzmu tam, gdzie one faktycznie występują. Musi być pokazany żołnierz Polski stanisławowskiej czy Królestwa Kongresowego przysyłany na egzekucję do wsi opornych. Nie są to żadne sprawy „wstydlive“. Tak było przecież we wszystkich państwach, a u nas krócej niż gdzie indziej na skutek długotrwałego braku własnego państwa. Moim zdaniem nie można się zgodzić ani z przemilczaniem wewnętrznej funkcji wojska, ani ze wstydliwym spychaniem jej na dalszy plan.

Sprawa jest poważna.

Najboleśniejże skrzywienia w nauce marksistowskiej minionego okresu dotyczyły właśnie historii wojskowości i spraw tzw. priorytetu. Ze zrozumiałych względów w tych właśnie dwóch dziedzinach polska nauka błędziła stosunkowo mniej. Czy obecne umocnienie suwerenności naszego państwa mamy rozumieć w ten sposób, że teraz my, „suwerennie“, będziemy popełniać te same błędy? Apologię wszystkiego, co było w przeszłości naszego wojska? A proponowano nam przecież tu i „priorytet“, w produkcji wódki wprawdzie, aleć zawsze priorytet!

Dużo mówiło się tutaj o pojęciach „pesymizmu“ i „optymizmu“. A wiemy już przecież (wykazał to chociażby O. G ó r k a na Zjeździe Wileńskim 1935 r.), że pojęcia te w ich sensie wartościującym są odwracalne. Mówiłem już o tym, jak je rozumiem w zagadnieniach kształtowania się rynku narodowego. A w zagadnieniach politycznych? H. Wereszycki przedstawił nam np. koncepcję całkowitej bierności politycznej chłopstwa polskiego (poza wielkopolskim) w tym okresie. Odpowiadali już na to C. B o b i Ń s k a, J. Ś i d a k i G. H a u p t. Merytorycznie teza moim zdaniem nie wytrzymuje krytyki ani w świetle nowszych badań polskich, ani na tle porównawczym. Kwestionowanie interpretacji pojawiania się jakiegoś ruchu politycznego „na fali“ ruchu chłopskiego jest moim zdaniem wynikiem niezbyt szczęśliwego sformułowania, którego jak dotąd nie umiemy szczęśliwszym zastąpić — samo bowiem występowanie wielkich ruchów politycznych właśnie „na fali“ ruchów chłopskich jest zjawiskiem szeroko w nauce stwierdzanym („La Grande Peur“ 1789 we Francji). Nie mogąc tu wchodzić w merytoryczną analizę zjawiska, zapytać tylko pragnę, czy taka właśnie koncepcja chłopskiej bierności politycznej nie byłaby skrajnym pesymizmem? Tak, jak skrajnymi pesymistami w kwestii narodowej byli ci, którzy pierwsi tezę tą formułowali: konserwatywni i oportunistyczni działacze polityczni sprzed 100 czy 120 lat.

H. Wereszycki kwestionuje zawarte w makiecie sformułowanie „programu chłopskiego“. Chłopi według niego nie formułowali programów:

Nieporozumienie kryje się tu w rozumieniu słowa „program“. Niewątpliwie makieta używa go w szerszym niż H. Wereszycki rozumieniu. Odtworzenie „programu“ masowych ruchów chłopskich jest trudnym zadaniem naukowym. Wyniki badań naukowych w tej dziedzinie, jak w każdej, podlegają naukowej krytyce. Ale czy wolno negować racjonalność i doniosłość samego problemu? Istnienie samego zjawiska? I jakaż historia by z takiej postawy metodologicznej wyrosła? Kanapowa grupa polityczna miałaby na kartach historii zreferowany swój program — a masowy, wstrząsający krajem ruch chłopski — nie. Znamy taką historię aż nadto dobrze i nie chcemy do niej powracać.

A wreszcie: czy pesymizm pesymizmowi równy? Pesymizm, o którym przywykliśmy mówić w dziejach polskiej nauki historycznej, sprowadzał się do braku wiary w możliwość odzyskania niepodległości. Ale czy czasem nie nazywamy pesymizmem każdej rewizji uznanych wartości i ocen? W epoce narodzin racjonalistycznej historiografii — czasach Renesansu, narodziło się na określenie minionego tysiąclecia pojęcie „średniowiecza“. Czy można wyobrazić sobie bardziej „pesymistyczne“ stanowisko? Tysiąc lat „zmarowanej“ historii, tysiącletni „przejściowy“ okres „mroków“, po których dopiero przerwana nić podjęta zostaje na nowo. A jednocześnie czy nie był to pesymizm twórczy? Czy nowa epoka i nowa klasa nie ma prawa do tak rozumianego „pesymizmu“? To znaczy do rewizji zastanych wartości? Czy mamy wracać do czasów, gdy każda próba rewizji, niezależnie od stopnia jej naukowego uzasadnienia okrzykiwana była mianem „szargania świętości“? Czy taka postawa jest zresztą walką z przejawami stalinizmu w nauce? Przecież właśnie w okresie skłaniania nas do unikania jednostronności, do stosowania aptekarskiej wagi przy „ustawianiu“ bohatera i wystawianiu mu cenzurki!

Zarzucano makiecie jednostronność. Pochlebny to, moim zdaniem zarzut. Wszystkie koncepcje, które odegrały poważniejszą rolę w nauce, były w jakiejś mierze jednostronne. Nikt chyba nie zaprzeczy, że szkoła krakowska była też jednostronna? Nauka rozwija się przez jednostronności I znów: czy walka z jednostronnością makiety jest, jak to się wydaje niektórym dyskutantom, walkę z pozostałościami okresu dogmatyzmu? Przecież właśnie w minionym okresie skłaniania nas do unikania jednostronności, do stosowania aptekarskiej wagi przy „ustawianiu“ bohatera i wystawianiu mu cenzurki.

H. Wereszycki chce od nas, byśmy w każdej sprawie podawali wszystko pro i contra. Słusznie. Jest tego w makiecie za mało. Ale gdy podajemy je — twierdzi znów, że teza nie zgadza się z wykładem. Wykład ma podać materiał do samodzielnego myślenia. Teza powinna podać pozycję zbilansowania, która może być przez czytelnika przyjęta lub odrzucona, W tym kierunku moim zdaniem powinny iść poprawki w makiecie.

Punkt węzłowy sprawy nie leży, moim zdaniem, ani w pesymizmie, rozumianym jako rewizja tradycyjnych wartości, ani w jednostronności. Leży on w problemie, gdzie szukać źródeł optymizmu, gdzie szukać wartości nowych?

Nie za dużo, lecz za mało ukazaliśmy moim zdaniem twórczą rolę mas ludowych. Oczywiście nie myślę tu o tym, że więcej stron należało tej tematyce poświęcić. Do przeszłości już należy u nas okres, gdy o wadze.

jaką autor przywiązuje do danej tematyki, sądziło się z ilości poświęconej jej przez niego stron. To za prosta metoda. Rzecz w tym, że za mało umieliśmy pokazać wpływ działań mas na całość dziejów narodu. Nie wydaje mi się, byśmy w obecnym stanie nauki mogli tu zdziałać wiele więcej — trzeba jednak widzieć to zagadnienie, gdyż ujawnienie luk w stanie wiedzy jest też jednym z zadań każdej syntezy.

Nie za dużo, lecz za mało moim zdaniem ukazaliśmy rolę skrajnej lewicy. Tu parę zastrzeżeń. Metody badania skrajnej lewicy były ostatnio przedmiotem licznych dyskusji. Poruszano tę sprawę w niektórych dyskusjach środowiskowych, a także w prasie społeczno-literackiej. Kwestionowano zastosowalność do naszych dziejów pojęć takich, jak szlacheccy rewolucjoniści i rewolucyjni demokraci. Rzecz charakterystyczna: nikt z krytyków nie próbował nawet racjonalnie udawadniać, dlaczego jego zdaniem pojęcia te nie są w zastosowaniu do naszych dziejów użytecznym narzędziem poznawczym. Padło natomiast słowo: „rusyfikacja“. A przecież stosujemy w naszej nauce, a i w makiecie również pojęcie: „Jakobini polscy“ — a jakoś nie słyhać oskarżeń o „frankizację“ nauki polskiej?

Rzecz w powiązanych z przedmiotem badania emocjach, rzecz w podtekstach, dyskusja toczy się w kategoriach irracjonalnych — a przecież o powrót do racjonalizmu w naszej nauce walczyć musimy.

W minionych okresach „uwypuklanie“ roli każdorazowej skrajnej lewicy dokonywane bywało poprzez: 1) ilość miejsca jej poświęconego, 2) negatywne oceny dla wszystkich pozostałych czynników życia politycznego. Właściwe natomiast uwypuklenie roli politycznej skrajnej lewicy osiągnąć moim zdaniem można nie tyle poprzez wyolbrzymianie jej — skromnych nieraz — wpływów i nie poprzez uczernianie dla kontrastowego tła jej politycznych przeciwników — lecz poprzez ukazanie, jak działania skrajnej lewicy, mimo że słabej lecz groźnej tym, że stosunkowo najpełniej wyrażała potrzeby mas ludowych, warunkowały postawę i działania innych sił politycznych. I znów stan nauki nie zawsze pozwala nam to w pełni ukazać.

Źródła optymizmu szukać wreszcie należy w tak licznych w naszych dziejach elementach internacjonalizmu. Jeśli koledzy z Czechosłowacji, Jugosławii, Węgier i NRD krytykowali nas za zbyt słabe ukazanie postępowej roli wpływów polskich w ich krajach oraz dostarczyli nam w tym zakresie cennego materiału — to dziękując im, możemy ich zapewnić, że z radością damy się popychać w tym kierunku. Nie chcieliśmy sami iść tu zbyt daleko, by nie zakrawało to na megalomanię narodową — ale głos kolegów z tych krajów jest dla nas miarodajny.

Elementy internacjonalizmu będziemy również wprowadzać ukazując stosunek do sprawy polskiej lewicy europejskiej. Nie zrezygnujemy z ukazywania (nawet za pomocą cytata) stosunku do niej Marksa i Engelsa. Za słuszny natomiast uważam postulat, by stosunek ten ukazać szerzej, by pokazywać stosunek do sprawy polskiej całej demokracji europejskiej.

W tych i tego rodzaju dziedzinach powinniśmy moim zdaniem szukać źródeł nowego optymizmu.

Ze wzruszeniem słuchało się nieraz naszej dyskusji. Jak bardzo była ona polska! Problemy historii „dla pokrzepienia serc“, historii „budującej“ czy „szargającej świętości“, problem czy należy czy nie należy ukazywać rozzdzierające naród polski w przeszłości sprzeczności etc. Sto pięć-

dziesiąt lat naród nasz skazany jest na dyskutowanie wciąż tych samych spraw!

Mówiłem wyżej o tym, że „głos ludu“ domaga się od nas nieraz, byśmy wszystkim w przeszłości, od prawicy do lewicy postawili „piątki“. Tak właśnie działo się w stołecznym i królewskim mieście Krakowie 60 lat temu. Kult organiczników i oportunistów na codzien. Kult demokratów, powstańców, rewolucjonistów od święta. Kult ofiary, grobu, kamieni na szaniec... Wyspiański nie napisał jeszcze „Wyzwolenia“, Żeromski nie zaczął jeszcze „rozdrapywać ran narodowych“, Piłsudski nie wypowiedział jeszcze słynnego zdania, że „trzeba zerwać z ckliwą legendą zgody narodowej“, Lechoń nie napisał jeszcze „Herostratesa“, Boy nie rozpoczął jeszcze swej kampanii antybrązowniczej.

Od tego czasu minęło 60 lat. W międzyczasie dokonano już wielu rewizji, skompromitowano wiele postaw, zdemaskowano wiele legend. Ale później przyszły w naszych oczach nowe „kamienie na szaniec“, których tragedii moje pokolenie do śmierci nie zapomni. Później przyszło obrażanie uczuć narodowych. I dziś znajdujemy się w obliczu niebezpieczeństwa odzycia sytuacji ideologicznej sprzed 60 lat! Czy mamy się z tym pogodzić?

„Obraz wiecznych kłótni w narodzie polskim nie jest budujący“ — ten pogląd w ramach obserwowanego „przewrotu przymierzy“ głosili dziś prof. A. Wojtkowski i T. Rawski. A. Lewak zaś proponował, jak mówiłem, „rzutowanie Frontu Jedności Narodu wstecz“. Obraz wiecznych sporów niektórzy krytycy zastąpić by chcieli obrazem narodowej harmonii. I to stary, ponad stuletnią już historię mający problem! Zaczynali go dyskutować bohaterowie opowiadanej przez nas epoki.

W 1848 r. w jednym z rzymskich salonów miała miejsce taka mniej więcej scena. Mickiewicz mówił „o nadchodzących zmianach w świecie, o wzbijającej się potęgę ludu, o jego słusznej sprawiedliwości“. Kilkakrotnie przerywała mu Eliza Krasieńska, zgadzając się z nim „w zasadzie“, „lecz wszystkim... spokojnie, zwolna, harmonijnym dostąpić chciała sposobem“. Na to wzburzony Mickiewicz wybuchnął: „Harmonia!“ tak... dla niej pół świata cierpieć by jeszcze dłużej musiało. Bo niechże na mej piersi stawić zechcą budynek, choćby piękny, precudny, — lecz mnie gniecie, dusi, ruszyć się, odetchnąć nie mogę, a mnie każą leżeć spokojnie, by nie runął gmach cały, by się nie zepsuł porządek, harmonia“¹.

My chcieliśmy pisać historię z punktu widzenia tych „na których piersiach wzniesiony jest gmach cały“, oraz tych, którzy, jak Mickiewicz rozumieli to i z tym walczyli.

Punkt widzenia jest aktem ideologicznego wyboru. A. Wojtkowski słusznie zakwestionował niejasne sformułowanie tej sprawy w przedmowie.

Nie zgodziłbym się jednak z zaproponowaną przez niego interpretacją. Pisać historię „z punktu widzenia mas ludowych“ — to nie tylko szeroko uwzględniać ich pracę i ich dolę. To również oceniać inne kategorie wyda-

¹ A. M i c k i e w i c z, Dzieła, wydanie sejmowe t. XVI, s. 293.

rzeń dziejowych w zależności od tego, czy i jaki miały wpływ na ich położenie, czy i jak potrzeby ich wyrażały.

A. Wojtkowski twierdził, że skłonność do wzajemnego obrzucania się oskarżeniami o zdradę jest narodową cechą Polaków. Nie byłbym aż takim pesymistą. A. Wojtkowski proponował, myślę że żartobliwie, by poświęcić nawet temu specjalny ustęp w podręczniku.

Rzecz jest jednak poważna. Kto zna dzieje ideologiczne narodu polskiego, ten wie, że wiele już u nas w tym duchu w przeszłości pisano. Czy nie warto by się zastanowić, kto, kiedy i przede wszystkim po co tak pisał? Komu, kiedy i dlaczego zależało na tym, by radykalną krytykę klas posiadających, rządów, kierownictw powstańczych etc. sprowadzać do „narodowych cech“ warcholstwa, rzekomej narodowej niekarności, rzekomej narodowej skłonności do wzajemnego obrzucania się inwektywami?

Niech mi wolno będzie posłużyć się tu analogią. W zeszłym roku ukazała się we Francji książka René Debura „Napoleon et les manuels d'histoire“, zaopatrzona w przedmowę gen. Weyganda. Książka ta zaopatrzona jest w motto, którego rozwinięciem jest przedmowa. Motto z Fustel de Coulanges'a brzmi: „Nos plus cruels ennemis n'ont besoin d'inventer les calomnies et les injures... leurs historiens les plus hostiles n'ont qu'à traduire les notres“. Cytat ten bardzo podoba się gen. Weygandowi. A więc i gdzie indziej niektórzy uważają, że ich narody specjalnie są skłonne do wzajemnego obrzucania się kalumniami. Czy nie warto by się też zastanowić i nad tym, że we Francji tezy tego rodzaju odpowiadały właśnie kiedyś Fustel de Coulanges'owi, a dziś są podchwytywane przez Weyganda? Czy to nie daje nic do myślenia?

Powinniśmy szukać tego, co nazwałem źródłami nowego optymizmu, ale nie przez rezygnację z prawa do dokonywania rewizji tradycyjnych wartości. Powinniśmy umieć ukazać wielkość narodu polskiego, ale nie przez wstydlive ukrywanie toczącej się w nim walki. Walka ta, nieraz walka na śmierć i życie, toczyła się naprawdę. Ukrywanie jej byłoby fałszem historycznym. W dodatku owa wielkość narodu ukazywała się nieraz właśnie w tej walce.

I nie ma tu moim zdaniem nic do rzeczy sprawa emocjonalnego stosunku do przeszłości narodowej. Często w dziejach rewidowano wartości sercu drogie, a cytowane wyżej nazwiska Wyspiańskiego i Żeromskiego są tego u nas przykładem.

Padł tutaj w dyskusji wniosek historyków poznańskich, by powstawały inne uniwersyteckie podręczniki historii Polski. Nic słusniejszego! Tyle że nie w naszej mocy zadanie to spełnić. Niechaj kwitnie sto kwiatów! Sto to oczywiście zbyt dużo — ale dwa-trzy byłyby bardzo pożyteczne. Może wówczas i ta nasza „stokrotka“ znęci niejednego użytkownika, jeśli nie urokiem formy, to innymi zaletami, np. bogactwem materiału.

Nie powoływaliśmy się w odpowiedziach na daty, w granicach których opracowywane było omawiane dziś dzieło. Nie powoływaliśmy się dlatego, że nie byłoby to żadną „okolicznością łagodzącą“ dla jego oceny. Powiem więcej. Od XX Zjazdu KPZR do chwili podpisania makiety do druku mogliśmy jeszcze niejedno zmienić, niejedno skreślić. Ale nie chcieliśmy zamazywać jasnej koncepcji, przedstawionej do dyskusji.

Koncepcja ta spotkała się z ostrą krytyką. Możemy zapewnić, że każde zdanie wygłoszone czy złożone na piśmie zostanie przez nas starannie przemyślane. Dzięki koleżeńskiej pomocy dzieło wyjdzie w świat lepsze. To pewne.

Jeśli zaś koncepcja sama była tak ostro krytykowana — może to nam być przykre jako odpowiedzialnym za dzieło, lecz nie jesteśmy tylko historykami, lecz i obywatelami. Jako obywatele jesteśmy szczęśliwi, że nastąpiły w naszym kraju warunki, w których dzieło to mogło być z taką szczerością i otwartością, w takiej atmosferze wolności myśli i słowa dyskutowane.